

STRUMIEŃ

Jacek Adamczyk

2019

STRUMIEŃ

Źródło

Kamień, czyli pierwsza przeszkoda

Upadek

Las i strumień

Siła i wściekłość

Zimno

Oddycham

Jacek Adamczyk

Źródło

Kiedy byłem źródłem,
kiedy urodziłem siebie w ciszy,
kiedy powstawałem niechcący,
nie zwracałem uwagi.

Miałem tylko puls,
moją prostą tkankę,
mój bezbarwny głos,
nie znałem opowieści .

Pojawił się dotyk,
zgadywałem istnienie,
planet i muchomorów,
ważki, liścia i kamieni.

Dostałem kilka dźwięków,
już na zawsze ze mną,
echo podziemne,
nieustanne oddechy księżycy.

Kiedy już żyłem,
kiedy otwarłem oczy,
kiedy tak już zostało,
poznałem zjawisko cienia.

Przyjdzie kilku uzbrojonych w zaschnięte naczynia prostej bezmyślności,
wysłanych z dołu, gdzie ciągle trwa błotniste panowanie rozumu i maszyny,
porządek kieruje wschodami i zachodami kolejnych epok brązu i żelaza,
nikomu nie wolno czerpać wzruszeń z pejzażu ukrytego w lesie.

Staną zmęczeni wokół nienarodzonej rzeki, greckiej przepowiedni chaosu,
spadną pierwsze uderzenia żwiru, piasku, gliny, sprawnych rąk i przekleństw,
w samym sercu zatknięty sztandar na żelaznym drzewcu dokona całości,
nastanie cisza, gdy wrócą do swoich bliskich opowiedzieć o udanym dniu.

Kiedy nie byłem źródłem,
kiedy straciłem głos,
kiedy niepotrzebny odszedł,
mogłem powtarzać.

Wymieszałem krew,
z napojem roślin,
śmiercią pasikonika,
wgnaniem leśnej nimfy.

Zebrałem ślady,
pamiątki i fotografie,
dowody zdarzeń,
wracałem, wróciłem.

Kamień, czyli pierwsza przeszkoda

Obejmuję kamienie z ciekawością,
oddaję czułość i porozumienie,
jakie łączy wroga i niewinność,
które niechący przyciągam,
bo cały jestem
śladem wilgoci .

Zachwygam się jego kolorami,
bo ich nie otrzymałem,
zabrakło dla mnie,
kiedy Stworzyciel,
miał już wszystko,
zaplanowane.

Podziwiam zwartość skały,
odpychającej ciepłe palce,
wpatrzonej w przyszłość,
nie rozmawiamy o tym,
kiedy proszę
o pomoc.

Wieczorem każe mi odejść,
żebym w końcu zrozumiał,
różnicę skupienia,
połączył ze sobą,
upływ czasu,
niecierpliwość.

Zostawiam za sobą kamień,
początek krętej ścieżki,
odchylam się w tył,
biegnę dalej,
tak rodzi się
lekceważenie.

Jestem prawie gotowy,
zepsuty jaskrawością,
marzeń dokonanych,
zapachem życia,
moją bezwzględnością
kiedy znikam.

Upadek

Jeszcze tylko skrawek skalnej półki,
myśli, które ciągle nie odchodzą,
jak te ptaki, które blisko tylko brodzą,
zazdrośnie śledząc czarny lot pustułki.

Nie wiem, co boli bardziej – rany czy ramiona,
którymi trzymam spadające ściany,
w szary obłok gwiazdnej piany,
zanim spadnie i na twarzy kropla skona.

Każdym drgnieniem, każdym lękiem,
tnę powietrze, zdzieram skórę,
jestem rysą, dźwiękiem jestem,
i to we mnie przepaść tworzy górę,
we mnie jest lawina próżnych myśli,
i po drodze niszczę sen o niebie,
na szkle źrenic węgiel kreśli,
ślad od siebie, do mnie i za siebie,
nie chcę zostać tylko częścią lotu,
strugą głosu albo cieniem żalu,
blizną słonecznego splotu,
pancerzem startego metalu,
sił nie mam by zachować kształty,
stracone, bo nie warte czasu,
obrócone w lustra bieli fałdy,
całuny z atłasu.

Wszystko minęło, trwa już wszystko, nie ma granic,
dalej jest tylko nowego świata prześwit lub poranek,
na czapce głupca błyszczą srebrny dzwonek,
zaklęcia, w które nie uwierzysz za nic.
Nie uwierzysz. Za nic.

Las i nurt

To miało być zwykłe zanurzenie w zieloną przestrzeń,

może bardziej milczącą, przysypaną butwiejącym zapachem,
pożółkłych kartek, odpadów zostawionych przez zwierzęta,
oswajane dzięki podawaniu jedzenia w zimowe noce,
albo przez zamaskowanych wędrowców, przeszukujących
trawę z pilnej potrzeby poznania smaku przeszłości.

Zwykłe przywitanie z nieustannym chłodem i cieniem,

odmiennym od znanego jeszcze dzisiaj rano, wczoraj,
kiedy bieg wypadków był tylko tarcie wszechświata,
a teraz przypomina pradawny oddech olbrzyma, wilgoć,
nagromadzoną pomimo wszystko, we wszystkim,
czego nikt delikatnie nie pozbierał suchymi wargami.

Pieszczota, rozstanie kochanków, zaledwie żal,

kiedy nie udaje się stwierdzić ponad wątpliwość,
kto zostaje, kto odchodzi, kto umiera na chwilę,
a komu palce zaciskają się na krawędzi niedowierzania,
że jeszcze przed chwilą wszystko istniało,
a nie ma już nawet zapisanego słowa „jesteś”.

Siła i wściekłość

Zgorzały cienie, połamały firmamenty,
ciężko oddycha poraniony morski wąż,
zgroza odeszła, jak uparte kolce rybich łusek
horyzont znowu zakwita czystą bielą,
śpiewamy, bo już wolno śpiewać.

Nie będę sobą, nikim innym,
znakiem sprzeciwu, tarczą ze szkła,
win własnych winnym,
struną, co we mnie drga.

Na nowo zbieram piasek i muszle,
posklejam w skalną ścianę,
z przepaści wyrwę duszę,
bo jeśli jestem, być nie przestanę.

Dosięgam dna, dno ma swój krajobraz,
odwrócony porządek, mgławice i łagodny ruch,
przechodzę mimo wilgotnych śmierci,
wyczerpanych chłodem narodzin światła,
boję się, bo już mi wybaczoneo.

Tęsknię znowu za kroplą powietrza,
skarbem, pokusą i pożądaniem,
za świtem i za milczeniem świerszczy,
za moim lub twoim oddaniem.

Wznoszę się, odbity od ziemi,
zakrytej naszymi daremnymi łzami,
jestem jak wiązka cienia z cieni,
jestem przeszłości deptanymi grobami.

Jak Morza Czerwonego strome ściany,
szarańczy chciwej żarłoczna chmura,
jak krzyk gnębionych plemion, niedobitków,
skazanych na ciszę albo na pokorę,
jak przerywany lot ptaka,
zamknięte gardło rozpaczy,
uderza
gdy
piekło i niebo
są tylko
umową.

Zimno

Trzeba z tym istnieć, trzeba je oswoić
zwierzę, które przychodzi w grudniu,
odchodzi bez serca, z pragnieniem,
niespełnionej prośby, pokornie.

Kłaść dłonie na skórze wody,
zastygającej w ostre krawędzie sopli,
w bezustannym sprzeciwie.
wobec krótkiego światła w południe.

Przekonywać, że jednak nie wszystko
jest jeszcze powiedziane albo zamilczane,
pozostawione w miejscu, w którym
jeszcze niedawno kwitła obietnica.

Zamarzać w naturalnym stanie
skupienia siebie, mnie i nas,
przyzwyczajonych do sezonowych zmian,
temperatury i blasku niepowodzenia.

Zgodzić się na znikającą swobodę ruchu,
poskromionego pod lustrem lodu,
odczytywać na gładkiej ścieżce,
ślady pazurów i pasterskiego kija.

A może jednak udaje się niekiedy ominąć pochmurne popołudnie,
zasmucone tylko dla niepoznaki wierszami i kolumnami latarni,
przedwczesnym powrotem do siebie, gdzie jest zawsze lepiej,
bo czekają wspólnicy podbiegunowych odkrywczych wypraw,
rubaszni towarzysze biegu pod górę, pod utratę oddychania.

Oddycham

To nie moja zasługa, to nie moje pragnienia,
widzę i mówię, gdy mija łąka i wieczór,
gdy tylko dotyk wspomina narodziny,
istnienia.

Nie oddałem kryształów, mgnienia kosmosu,
zdziwienia, gdy czułem, że żyję,
gdy traciłem skórę, myśli przygodne,
figury losu.

Jestem blisko, dalej tylko horyzont,
nie wiem czym czas opłacić,
za złudzenia, klęski, zdrady,
suchy łąd.

Gdy jestem, staję się, znikam
Oddycham
Gdy barwy śniegiem odpycham
Oddycham
Gdy już bram nie zamykam
Oddycham

Zielony jest kamieni drwiący taniec na strumienia śladach.
Niebo jest błękitne, to tylko odbicie, nie ma nowej wiosny.
Odrzucając wężowe odbicia, zakamarki pokryte koronami chłodu.
Oddając drżenie rąk, uporczywość spojrzenia strażnikom i kosom,
Napęlamy żyły i krew bezcennym prądem, ruchem warg.
Aż na tafli szkła, w chwili grozy i zmartwychwstania
Powstanie obłok pary, ciśnienie, którym nie sterujemy.

Gdy jestem, staję się, znikam
Oddycham
Gdy barwy śniegiem odpycham
Oddycham
Gdy już bram nie zamykam
Oddycham